

Jan Związek

Wspomnienia ks. Aleksandra Romana Konopki z obozu koncentracyjnego w Dachau : cz. 2

Rocznik Wieluński 10, 97-113

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ŹRÓDŁA I MATERIAŁY

Ks. Jan Związek

WSPOMNIENIA KS. ALEKSANDRA ROMANA KONOPKI Z OBOZU KONCENTRACYJNEGO W DACHAU (CZ. 2)

Życie religijne i modlitwa

W chwili przywiezienia nas do obozu księża niemieccy mieli kaplicę w bloku 26, ale była ona zarezerwowana tylko dla nich. Niewielu z nas i nieczęsto mogło z niej korzystać i przyjmować Komunię św. Czasem księża niemieccy podali jeden komunikant przez okno. Dzieliliśmy go wówczas na drobne cząsteczki i przyjmowaliśmy. Na Mszę św. nie mogliśmy uczęszczać. W niedziele, ale także w inne dni, kiedy odprawiano Msze św. na bloku 26, chodziliśmy pod oknem, w ten sposób w nich uczestniczyliśmy. Bóg nieskończenie doskonały i człowiek sponiewierany przez drugiego człowieka – to były najczęstsze refleksje. Dopiero w 1945 r., kiedy zezwolono nam odprawiać nabożeństwa, korzystaliśmy z tej możliwości. W kaplicy mógł odprawiać tylko jeden kapłan. Ale odprawialiśmy na stołkach między łózkami, jednak ktoś musiał czuwać, bo było to zakazane. Wino i komunikanty przekazywali nam księża niemieccy. Ja miałem szczęście jeden raz odprawiać mszę w kaplicy, w warunkach obozowych. Trudno jednak wyobrazić sobie tamte przeżycia. Po wielu latach sponiewierania godności ludzkiej i kapłańskiej oraz narodowej można było przyjąć do serca Ciało i Krew Boskiego Zbawiciela. Milkły usta, serce przestawało bić. Zjednoczenie z Panem przenikało każdy nerw. Nie wiem czy byłbym w stanie ocknąć się, gdyby nawet przyszedł esesman. Ciśnęło się pytanie, czy zasłużyłem na takie szczęście?

W niedzielę mógł jeden z nas odprawiać Mszę św. w wyznaczonej godzinie przed południem. Przychodzili na nią także liczni świeccy polscy katolicy, którzy często tłumnie stali na zewnątrz bloku. Byliśmy dumni z ich obecności, bo świadczyli, że Naród Polski jest wierny Bogu i Kościołowi nawet w obozie koncentracyjnym. Często można było spotkać księdza w towarzystwie świeckiego Polaka, jak rozmawiali ze sobą w skupieniu. Była to oczywiście spowiedź. Podczas Mszy św. przyjmowali Komunię

św. Księża innych narodowości także mogli odprawiać msze dla swoich rodaków, ale uczestniczyło w nich bardzo mało wiernych. Nas wprawdzie było najwięcej, ale liczna obecność w czasie nabożeństwa potwierdzała, jakie wartości Polacy nosili w sercu. Jeden z kolegów opowiadał bardzo przykre przeżycie. Przyniósł kawę na blok 26. Brama była uchylona. Postawił kocioł, a wówczas wziął trepy w garść, bowiem nikogo nie było i wszedł do niemieckiej kaplicy. Klęknął i modlił się. W pewnym momencie czuje na ramieniu czyjąś rękę, podniósł głowę i zobaczył księdza niemieckiego, mówiącego, aby się stąd wynosił. Ja jestem księdzem, ale wam nie wolno tu przebywać. Chwyć polskiego księdza za ramię i kazał wynosić się, bo jak zobaczyłby esesman, to zamknąłby niemiecką kaplicę. Wypchnął go. Łzy leciały same jak groch. Wyszedł z kaplicy i wszedł do naszego bloku. Spotkał biskupa Michała Kozala, któremu opowiedział całe zdarzenie. Biskup przytulił jego głowę do piersi i powiedział, że musi być mężny, bo i taka przykrość była konieczna. Ucałował ręce biskupa i podziękował za słowa otuchy.

Modlitwa

Każdy kapłan wie, co to jest rozmowa z Bogiem. W obozie trudno było znaleźć wolną chwilę na skupienie. Modlił się więc człowiek na apelu, w drodze do pracy i w łóżku, o ile sił starczyło. Zmęczony człowiek zasypiał natychmiast. Często odmawiałem Różaniec na palcach, a kiedy ukazały się kółeczka – cieniutkie, metalowe, one stały się pomocą w tej modlitwie. Pierwszy raz spotkałem taki różaniec, wymyślili go więźniowie w komandach. Było to w 1942 r., kiedy wracaliśmy z pracy w południe na obiad, a tu nagle strażnicy zatrzymują komanda polskich księży. Wprowadzają nas na ulicę pomiędzy blokami po przeciwnej stronie. Strażnicy rozkazali rozebrać się i rozpoczęło się poszukiwanie medalików, obrazków i innych przedmiotów religijnych. Było ciepło, ale byliśmy zmęczeni i niesamowicie głodni. Nawet wodnista zupa wydawała się przysmakiem. Nic nie znaleźli, kazali się ubrać i udać się na blok, gdzie zobaczyliśmy potworny bałagan. Sienniki były pozrzucone z łóżek, niesamowicie pomieszane wszystko, niemożliwym było odnalezienie własnego siennika, Był taki cel tej akcji, aby o ile ktoś miał jakieś swoje rzeczy w sienniku nie mógł już ich znaleźć. Była to zwykła szykana. Teraz należało zrobić porządek i dopiero iść na obiad. Ledwie powłóczyliśmy nogami. Wielu padało ze zmęczenia, ale mimo to należało wykrzesać z siebie resztki sił, aby nie poddać się. W takich momentach potrzeba było Bożej pomocy i o ile można było się choć na chwile skupić, prosiło się Boga o pomoc. Były jednak momenty, kiedy gromadziliśmy się grupkami na modlitwę i powierzaliśmy się św. Józefowi Kaliskiemu pewni, że może nam wyprosić opiekę u Boga. Niewątpliwie wiara i ufność, że będziemy przez Boga wysłuchani, dodawała nam sił¹.

¹ W Kaliszu od dawna było sanktuarium św. Józefa. Było znane w diecezjach włocławskiej, poznańskiej i częstochowskiej. Dlatego kapłani, pochodzący z tych diecezji szczególnie polecali się opiece św. Józefa Kaliskiego.

Jeszcze jedno zdarzenie z 1941 r. Jednemu z kolegów, kapłanowi z diecezji łódzkiej, wypadł różaniec. Zauważył to esesman. Kazał księdzu podeptać różaniec. Myśmy przeżeni stali jak zakłęci, świadomi tego co się stanie, a pomoc koledze nie było można. Kapłan stał i nie podeptał różańca. Esesman zaczął ryczeć i grozić, ale to nie zmieniło postawy kapłana. Po chwili postawił księdza na stołku i bił. Nieszczęśliwiec spadł, ale musiał się podnieść. Wreszcie skatowany stracił przytomność. Został zabrany na rewir, gdzie po kilku dniach zmarł.

Wzajemny szacunek i rozluźniona dyscyplina pozwoliły na naszym bloku utworzyć tzw. samorząd. Sami zaczęliśmy łagodzić nierówności, jakie powstały między nami. Dużo spokoju i umiejętności likwidowania nieporozumień oraz troski o ład i porządek wykazał ks. Teodor Korcz, kapłan poznański². Wojna toczyła się niekorzystnie dla Niemców. Armia radziecka posuwała się naprzód. Paczek żywnościowych przychodziło coraz mniej, w połowie 1944 r. więźniowie już ich otrzymywali bardzo mało, a w lutym 1945 r. całkowicie ustały. Zaczęły powracać dawne czasy, o ile chodzi o głód. W listopadzie i grudniu 1944 r. przybywały coraz większe transporty więźniów z innych obozów. Widoczny był brak ubrań i bielizny. Kto posiadał swoją bieliznę nie otrzymywał obozowej. W tym czasie zmieniano ją raz na miesiąc. Pokazywały się wszakże wszy w obozie, przynosząc tyfus. Aby ratować zdrowych więźniów przed zarażeniem odizolowano chorych w siedmiu blokach – tam oczekiwali na niechybną śmierć. Chorymi nikt się już nie zajmował, personel szpitalny wymarł, a nikt nie chciał opiekować się tymi nieszczęśliwymi i biednymi ludźmi. Był czas, że tyfus szerzył się nie tylko w blokach odizolowanych. Nas, księży, zgromadzono w bloku 26, w trzech izbach po czterystu duchownych w każdej. Można sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Ale za to panowała ścisła kontrola czystości i walki ze wszami. W 1943 r., wybuchł w obozie tyfus plamisty i brzuszny. Obóz został zamknięty. Nie chodziliśmy do pracy. Spaliśmy od godziny 20-ej do 8-ej rano. Apel przed blokami trwał 10 minut. Dyscyplina w obozie także złagodniała. Nawet kotłów na bloki nie nosiliśmy, a wożono je „rollwagami”. Tyfus jednak robił swoje. Ludzie coraz liczniej zapadali na tę chorobę. Przenoszono ich na bloki odizolowane. Chętnych do pomocy brakowało. Władze obozowe zwróciły się o pomoc w pielęgnacji nad chorymi do polskich księży. Wielu z nich poszło opiekować się nieszczęśliwymi. Wielu zaraziło się i zmarło, ale inni przetrzymali epidemię i żyli.

Wśród tych, którzy odeszli do Pana na skutek zarażenia był ks. Stefan Frelichowski, młody kapłan z diecezji pelplińskiej³. Uznając wartość jego ofiary, Niemcy pozwolili wystawić jego zwłoki na rewirze, można było przejść obok i pomodlić się. Toczy się jego proces beatyfikacyjny.

² Ks. Teodor Korcz, ur. 8 XI 1903 r. w Poznaniu, aresztowany 6 X 1941 r. W Dachau od 30 X 1941 r. Doczekał wyzwolenia.

³ Ks. Stefan Frelichowski, ur. 22 I 1913 r. w Chełmży. Został aresztowany 19 X 1939 r. Był więziony w Toruniu, Stutthofie, Sachsenhausen i od 14 XII 1940 r. w Dachau. Zmarł 23 II 1945 r., zarażony tyfusem plamistym w czasie posługi duszpasterskiej.

Biskup Michał Kozal z Włocławka swoją postawą, skupieniem, pogodą i uśmiechem stał się dla nas wzorem. Z każdym chętnie rozmawiał, udzielał rad i pocieszał. Widzieliśmy jak rozmawiał z mariawickim biskupem Janem Kowalskim⁴, którego zapewne chciał nawrócić, ale ten został zaliczony do inwalidów i zagazowany. Biskup Kozal zmarł w opinii świętości 26 I 1943 r. Ojciec św. Jan Paweł II ogłosił go błogosławionym. Wielka to dla Kościoła w Polsce chwała, a dla nas współcierpiących w obozie koncentracyjnym nadzieja, że mamy orędownika u Boga⁵. Niewątpliwie wielu było takich kapłanów, których należałoby światu pokazać, jak umierali cierpiąc, aby nie zaprzeć się Boga i nie wyrzec miłości Ojczyzny. Byli wszakże nie tylko księża. Kat hitlerowski niszczył każdego, kto nie wypełnił jego woli w niewolniczy sposób. Na pewno dla wierzącego człowieka świadomość, że Bóg jest z nami oraz skupienie wewnętrzne na modlitwie, a także troska o zdrowie nawet wówczas, kiedy zdawało się, że organizm kurczy się – była wielką pomocą w przetrwaniu cierpień obozowych.

I jeszcze jedno zdarzenie z mojego pobytu w obozie. W 1944 r. już pracowałem, jak wspomniałem wyżej, na „plantażach” przy układaniu kompostów. Oberkapo Gabriel zrobił mi miłą niespodziankę. Na zimę 1944/45 przeznaczył mnie do bardzo dobrego komando w Lehrgebäude. Praca była pod dachem w pięknych pokojach, jednocześnie istniała możliwość „organizowania” żywności. Komandem opiekował się Ehrenhäftling Austriak dr E. Gilbert, mieszkający w tym budynku. Zatrudnione tam były młode Niemki, dość życzliwe dla nas. Ja pracowałem z młodym Czechem w pokoju, gdzie stał duży drewniany bęben. Do pracy należało założyć biały płaszcz i białą czapkę na głowę. Do bębna wsypywano 80 kg soli, po kilka kilogramów warzyw zmielonych oraz 5 kilogramów tłuszczu bydłowego, smażonego z cebulą. Wszystko razem kręciliśmy bębniem, aby powstał zmieszany proszek, który wsypywało się do tekturowych pudełek. Razem tego proszku jednorazowo było 100 kilogramów. Wysyłano go następnie do kuchni wojskowych, a wsypywany do zup miał chronić przed szkorbutem. W komandzie pracowało 18 więźniów. Kapo był Czech nazwiskiem Major. Wszyscy oprócz mnie byli Czechami, a wśród nich generał Hošek, kilku profesorów, księży i inni znani czescy więźniowie.

Z młodym Czechem pracowaliśmy w jednym pokoju, a pozostali mieli inne pomieszczenia. Czasem spotykaliśmy się i rozpoczynała się dyskusja. Ja jeden przeciwko kilkunastu Czechom. Usiłowali mnie przekonać, że Czesi to najinteligentniejszy naród słowiański. Starałem się wykazać im, że byli w błędzie. Nie pobiliśmy się jednak z tego powodu, a zawsze panowała między nami atmosfera zrozumienia i zgody. My dwaj od bębna czasem uszczknęliśmy tłuszczu dosypując do mieszanki soli, a za to otrzymywaliśmy ziemniaki lub zupę w proszku. Takie komando należało cenić i strzec go.

⁴ Ks. Jan Kowalski (imię zakonne Maria Michał), ur. 27 XII 1871 r. w Latowiczu. Studiował w Seminarium Duchownym w Warszawie i Akademii Duchownej w Petersburgu. Święcenia kapłańskie przyjął w 1897 r. Od 1900 r. należał do mariawitów. Na biskupa mariawickiego został wyświęcony 5 X 1909 r. w Utrechcie. Był więziony w Dachau. Nie doczekał wyzwolenia.

⁵ Ks. Konopka później dopisał wiadomości na temat późniejszych wydarzeń.

Pewnego dnia, przyszedłszy do pracy, ubrałem biały kitel i białą czapkę. Kolegi jeszcze nie było. Obmyłem ziemniaki i postawiłem na maszynie za bębniem. Nagle wszedł major Vogt, nadzorca na „plantażach”. Stałem na baczność meldując się – „ich melde gehorsam...” Odsunął mnie i zobaczył moją kuchnię i powiedział „ach so” i odszedł. Strach mnie przejął. Poszedłem do kapo i opowiedziałem całe zdarzenie, a on udał się do młodych Niemek, a te załatwiły wszystko bez przykrych następstw. Powiedziałem sobie, że to znów była widoczna opieka Boża. W tym komandzie pracowałem do wiosny 1945 r., a potem wróciłem do Józka do kompostów.

Wspominałem, że wśród sztubowych i blokowych oraz wśród kapo spotykało się łotrów, na własną rękę wymyślających najgorsze szykany w celu umęczenia i wykończenia poddanych im współwięźniów. Byli jednak i tacy, którzy dawali poznać, iż rozumieli, że na tym samym wózku jedziemy i pomagali nam jak mogli. Nawet wśród esesmanów spotkało się ludzi. Pewnego razu przy sprzyjających okolicznościach jeden z nich opowiadał, jak zimą czasem budzili ich oficerowie, wypędzali w bieliźnie na mróz i ćwiczyli po to, aby wyczerpani i zmęczeni wylewali swoją złość na więźniach. Oczywiście były to wyjątki potwierdzające, iż nieliczni z nich nawet w tych potwornych warunkach zachowali odrobinę człowieczeństwa. System istniejący w obozach koncentracyjnych niszczył dobre cechy w człowieku i budził nienawiść, aby bez wyrzutów sumienia znęcać się nad słabszym. Tylko Niemcy byli narodem panów, a inni to goje, którzy mają im służyć bez zastrzeżeń. Spotkawszy przechodzącego esesmana należało stanąć na trzy kroki przed nim i meldować „ich melde gehorsam Häftling Nr... zu Stelle” – melduję się posłusznie więźni nr... do dyspozycji, a ten przechodząc zwykle kopnął umęczonego człowieka. Były i takie noce, kiedy budzono nas. Ubieraliśmy się i ustawiano nas przed blokiem w szeregi, a po godzinie stania wracaliśmy do łóżek. Nawet i po takich emocjach zasypiało się natychmiast, kiedy poczuło się łóżko. Wyczerpanie i zmęczenie w pracy robiły swoje. Wielu na plecach kolegów lub na tacze odwożono na rewir, a stąd do krematorium. Latem 1942 r. wywieźliśmy śmieci do wyrobiska po kamieniach i je wysypaliśmy. Esesman wszedł do budy kapo. My mieliśmy w tym czasie „Brotzeit” – jedliśmy chleb z kiełbasą. W tym momencie wszedł esesman i wołał mnie, zapisał numer. Wiedziałem, że kartkę z numerem odda w okienku przy wejściu do obozu, a potem następował „Meldung” – 25 batów lub godzinna kara sępka. Poszedłem do kapo. Znałem go, pochodził z Monachium, dobry człowiek, opowiedziałem całe zdarzenie, a on uspokoił mnie i zapewnił, że kartkę zniszczy. I w tym przypadku udało się. Meldung – zgłoszenie na badanie i kara chłosty wymierzonej bykowcem. Biło dwóch katów, nieszczęśliwiec musiał sam liczyć. Delikwent leżał na stołku wypiętą częścią ciała, czasem bili po nerkach. Tortury odbywały się w pustej łaźni, a cały obóz stał na placu. Po egzekucji biedny człowiek wychodził, marynarkę miał wpuszczona w spodnie. W ten sposób wszyscy wiedzieli, że sprawa była załatwiona. W 1943 r. karano na placu apelowym publicznie, wszyscy musieli się tym męczarniom przyglądać. Druga kara to wieszanie na sępku na rękach związanych z tyłu. Podciągano tak długo,

aż skazaniec nie mógł nogami dotknąć betonu. Trwało to godzinę. Po powrocie na blok trzeba było przez kilka dni karmić biedaka, bo nie mógł w rękach nic utrzymać. Krótko przed wyzwoleniem przyszła wieść, iż w celu wymuszenia przyznania się do winy Niemcy zamykali więźnia w wąskim bunkrze, gdzie musiał stać bez przerwy, a były to straszliwe cierpienia.

Doświadczenia lekarskie

Malaria. Stację na rewirze prowadził prof. dr Klaus Schelling z Monachium. Na doświadczenia wybierano więźniów z bloków. Czasem przypadek zrzucił, że przebywało się na bloku, przychodził esesman i zabierał więźnia na rewir. Tam badano go, czy nie jest chory i zaszczepiano malarię włoską, egipską, madagaskarską lub australijską. Podawano do krwi, a także zarażano przez ukąszenie komarów. Z bloku polskich księży wielu kolegów poddano tym doświadczeniom. Mnie zaszczepiono malarię przez ukąszenie komarów. Wracałem w południe z pracy i spotkałem esesmana. Ten chwycił mnie za rękę i zaprowadził na rewir, gdzie zdezynfekowano mi kawałek przedramienia i na tym miejscu umieszczono małą klatkę z cienkiej siatki drucianej, w której znajdowały się komary. Posiedziałem z godzinę i zwolniono mnie na blok. Chodziłem na rewir w wyznaczone dni na badania. Po powrocie na blok koledzy mi pomogli. Wzmogła się u mnie gorączka, ale księża podali mi chininę, otrzymaną w paczkach od rodzin i gorączka opadła. Chininę zażywałem wielokrotnie. Chodziłem na rewir kilka razy i orzeciono, że malaria nie przyjęła się. Przesztano więc mnie wzywać. Jednak jakieś ślady pozostały, czasem była to wysoka temperatura i osłabienie serca, a zawsze należało bardzo uważać. Po wyzwoleniu przeprowadziłem badania, dobrzy lekarze leczyli i opiekowali się mną. Doświadczenia miały pomóc znaleźć leki na likwidowanie gorączki. Wojsko niemieckie wędrując po krajach południowych często zapadało na wysoką gorączkę. Słyszałem, że więźniowie ratowali się przed malarią kupując w kantynie przyprawę do sałatek „Salatin”, kwaśna to była mikstura i nią smarowali ciało. Komary nie kąsały wówczas, czasem zdychały po dłuższym przystawianiu do ciała.

Flegmona. Drugim miejscem doświadczeń była stacja flegmonowa. Prowadził ją lekarz dr Schulz, esesman, Sturmbannführer. Zdrowym więźniom wstrzykiwano w udo lub ramię 3 centymetry sześciennę ropy, ściągniętej z ran innych chorych. Następową była wysoka gorączka, a ropa przeżerała kości i tętnice. Niewielu przeżyło te doświadczenia. Mogę Bogu dziękować, że uchronił mnie od nich. Zdarzyło się, że gdy przebywałem na bloku, przyszedł esesman, kazał wszystkim wyjść na zewnątrz i ustawił w szeregu, a idąc obok wskazywał tych, którzy mieli być poddani doświadczeniom. Między wybranymi znalazłem się i ja. Przeczuwałem jakieś niebezpieczeństwo, a idący obok pisarz powiedział mi, abym uciekał. Wskoczyłem więc do szeregu, a esesman tego nie zauważył. Udało się.

Na doświadczenia flegmonowe wyznaczono około 35 księży, ale tylko kilku przeżyło⁶. Ciało gniło, a gorączka była ponad 40 stopni. Flegmonę przenoszono do zdrowego organizmu w postaci zastrzyku, spreparowanego z naturalnej postaci, uzyskiwanej ze zwłok. Po zastrzyku, po dwóch – trzech dniach pojawiały się skutki. Wielu konało natychmiast z powodu wysokiej gorączki. U wielu na rękach lub nogach tworzyły się ropiejące rany. Nieszczęśliwcom pomagał pielęgniarz ze stacji flegmonowej Heini Stohr. Organizował zastrzyki przeciwnie i w tajemnicy przed kierownikiem, wstrzykiwał chorym. To powstrzymywało na jakiś czas postęp choroby. Skutki oczywiście szły na rachunek metod leczenia dra Schulza.

Było jeszcze kilka innych stacji doświadczalnych, a wśród nich: stacja lotnicza, gdzie badano między innymi wytrzymałość organizmu ludzkiego na niskie ciśnienie. Więźnia zamykano w hermetycznie zamkniętej komorze, obniżano stopniowo ciśnienie, co doprowadzało do utraty przytomności. Następnie podnoszono ciśnienie, a chory wracał do stanu półprzytomności. W takim oszołomieniu więźniów trwał przez chwilę i konał. Następował wylew krwi do płuc, a potem agonia.

Była również stacja pławienia więźniów w wodzie o temperaturze plus cztery stopnie. Do basenu wrzucano człowieka, który po kilkudziesięciu minutach tracił przytomność. W wyznaczonych odstępach czasu pobierano od niego krew z karku do analizy. Po upływie określonego czasu wyciągano nieprzytomnego z wody i poddawano bezskutecznym próbom przywrócenia do przytomności. Stosowano więc gorącą kąpiel, ogrzewano silnymi lampami elektrycznymi, albo też, mówiono o tym głośno, kładziono badanego pomiędzy dwie nagie kobiety, których ciepło ciała miało przywrócić do życia.

Inwalidzi

Doktryna hitlerowska dawała możliwość życia tym, którzy pracowali, innych natomiast uważała za darmozjadów i skazanych na śmierć. Kto dłuższy czas przebywał na rewirze, a miał ponad sześćdziesiąt lat, był zaliczany do transportu inwalidów. Na blokach sporządzano listę, po czym spisanych izolowano, ubierano ich w najlichsze pasiaki. Na drogę nie dawano im żadnej żywności i wywożono w nieznanym kierunku. O ich śmierci dowiadaliśmy się z korespondencji od krewnych. Zwykle podawano przyczynę śmierci – osłabienie serca. Podana data przypadała zwykle w trzeci dzień po wywiezieniu z obozu. Tak zginęło 327 księży polskich i 4 niemieckich. Pamiętam jednego więźnia przywiezionego z Oświęcimia jako inwalidę. Pochodził gdzieś spod Krakowa, właściciel ziemski, przychodził na nasz blok. Miał znajomych księży. W krótkim czasie nabrał sił, był młody i pracował w pralni. Nagle dowiedzieliśmy się, że wyjeżdża transportem jako inwalida. Nie wiem co się z nim stało, chyba nic dobrego. Gdyby nie był zapisany na liście jako inwalida, prawdopodobnie doczekałby wyzwolenia. Często zastanawialiśmy się nad tym, że nauka przeprowadzała doświadczenia na zwierzętach,

⁶ Spośród księży częstochowskich doświadczeniom lekarskim byli poddani m.in. ks. Leon Poprawa i ks. Ewaryst Szociński. Przeżyli te doświadczenia.

a hitlerowcy dokonywali tego na ludziach. W obozach koncentracyjnych według nich przebywali przestępcy i bandyci, których życie nie miało wartości dla wybranego narodu niemieckiego. Himmler, twórca obozów koncentracyjnych, do którego doszły głosy opinii katolickiej na temat potworności „doświadczeń” w obozach, w liście do generała Milcha pisał: *Byłem przekonany, że nad wszelkimi zarzutami natury religijnej można przejść do porządku dziennego. Osobiście przeprowadzałem inspekcję jednego z oddziałów tychże doświadczeń i mogę śmiało powiedzieć, że biorąc udział w każdej ich fazie, przyczyniłem się do osiągnięcia naukowego. Nie ma powodu, aby tego rodzaju wiadomości wprowadzały nas w szal. Potrzeba nam 10 lat, abyśmy uwolnili nasz naród od tych „uprzedzeń”*. Zwycięstwo wojenne było konieczne, tak mniemali zbrodniarze hitlerowscy, aby uniknąć konsekwencji i odpowiedzialności za zbrodnie dokonane na innych narodach. My więźniowie, nie tylko księża, ale i nasi współbracia, modląc się i cierpiąc, wierzyliśmy, że muszą odpowiedzieć za swoje postępowanie. Nie nienawiść była treścią naszych przeżyć, ale ufność, że sprawiedliwość oczyści ludzkość od okrutnych zbrodniarzy.

Był 1944 rok – czas pewnego odprężenia. W południe wracałem z pracy, miałem gorączkę. Obtarłem sobie nogę, stopa bardzo mi spuchła. Wstąpiłem na rewir, mając nadzieję, że coś mi pomogą. Pielęgniarz zobaczył nogę i mówi „Was willst du?” i zamierzył się, by mnie kopnąć. Schyliłem się po trepy i boso uciekłem. Na bloku posmarowałem stopę tłuszczem i owinąłem ranę, po południu w pracy jakoś przetrwałem. Wieczorem znowu smarowałem i owinąłem, jakoś przeszło. Sam organizm bronił się. Nawet w tych czasach odprężenia należało mieć znajomości, aby można było pomóc sobie lub koledze.

Frontowe klęski łagodziły rygory obozowe

W nocy słyszeliśmy huk przelatujących samolotów alianckich, kierujących się na Monachium. Było je słyszeć już od jesieni 1942 r. Z czasem eskadry samolotów latały nie tylko nocą, ale i w dzień. Widzieliśmy liczne eskadry na horyzoncie. Artyleria przeciwlotnicza, ustawiona w okolicy obozu, nie żałowała pocisków. W 1944 i 1945 r., w dzień, w pracy na powietrzu trzeba było uważać, aby jakiś odłamek nie spadł na głowę. Mimo niebezpieczeństwa cieszyliśmy się, bo to świadczyło o zbliżającym się dniu wolności. W czasie jednego z takich nalotów nocnych, na budynek przy kuchni, gdzie były przechowywane nasze ubrania, które nam zabrano, po przybyciu do obozu, spadła pałaca się rakietą. Całe poddasze spłonęło z ubraniami, ale kuchnia ocalała.

W obozie coraz bardziej zaczynało brakować miejsca. W listopadzie i grudniu 1944 r. przybywały coraz liczniejsze transporty. Zaczęło brakować bielizny i ubrań. Dawano koc jako ubranie i okrycie. Więźniowie z różnych obozów byli wyczerpani do ostateczności marszem trwającym czasem kilkanaście dni. Ich odporność na choroby nie była wielka. Zaczęły rozmnażać się wszy, które roznosiły tyfus. Biedaków przynoszonych na bloki izolowano, aby chronić zdrowych więźniów. Opiekować się nimi nie miał kto,

gdyż personel blokowy wymarł. Niektórzy chorzy, kiedy zmarł obok leżący, nie zgłaszali tego kapo chcąc zatrzymać dla siebie chleb zmarłego. Potworność sytuacji można sobie wyobrazić. W ciągu trzech miesięcy od 1 stycznia do 31 marca zmarło na tyfus płamisty przeszło 10 tysięcy więźniów. Sterty trupów wywożono na wozach każdego dnia do krematorium. Ten normalny widok nie robił na nas wrażenia, byliśmy z nim oswojeni od wielu lat i zbratani ze śmiercią. Komando zwróciło się o pomoc do księży. Zgłosiło się wielu polskich księży, wśród nich ks. Stefan Frelichowski, który jednak zaraził się, pomagając nieszczęśliwym i 23 lutego 1945 r. zmarł na tyfus płamisty. *Kto mnie naśladuje, choćby i umarł, żyć będzie* słowami Chrystusa kierowali się pomagający nieszczęśliwym.

Jednocześnie warunki na bloku stawały dość znośne. Niepowodzenia Niemców na froncie i paczki żywnościowe zrobiły swoje. Złagodziły potworny regulamin obozowy. Jednak w miarę posuwania się frontu było coraz mniej paczek. Ostatnie otrzymali niektórzy w połowie lutego 1945 r. Nie chcę zabierać głosu na temat, iż księża nie dzielili się z głodnymi, mimo że otrzymywali wiele paczek. Czasem esesman przychodził i zaglądał do nich. Znajdował wiele zepsutej żywności, wówczas kłął i wyrzucał zawartość. Ja to widziałem kilka razy. Tymczasem paczki przestały przychodzić. Przeszliśmy na wikt całkowicie obozowy, który był coraz bardziej ograniczany. Należało przeto teraz szczególnie troszczyć się o zdrowie. Higiena, częste kontrole ubrań i bielizny, oddawanie ich do dezynfekcji i obrona przed wszami roznoszącymi tyfus, to były najważniejsze nasze obowiązki w tym czasie. Odczuwaliśmy zbliżający się koniec. Każdy pragnął przetrwać i doczekać wolności. Na tym tle doszło do nieporozumień z księżmi francuskimi, których przydzielono na nasz blok. Było ich około 150. Trudno było im pojąć, że samemu należy się przede wszystkim troszczyć o swoje zdrowie. Oczywiście nie były to jakieś kłótnie, które by nas oddzieliły od siebie. Myśmy tylko chcieli im pomóc, bowiem warunki życia obozowego znaleźmy od dawna, a nie broniliśmy regulaminu obozowego. Na naszym bloku zdarzały się wypadki tyfusu, ale dzięki naszej energicznej akcji zdołaliśmy położyć tamę tej epidemii. Pamiętam jednego z księży z naszej diecezji częstochowskiej, który zachorował na tyfus, ale zabrany na rewir przetrzymał i wrócił do Ojczyzny.

Jeszcze jedno przykre zdarzenie: Po upadku powstania warszawskiego przywieziono do obozu ok. 3000 mieszkańców Warszawy. Wieczorem trzeba było otoczyć ich opieką i pomocą na tyle, na ile to było możliwe. Możliwości było niewiele, a wszyscy byli głodni. Wielu z nas poszło do nich, aby coś się dowiedzieć. Prowadziliśmy rozmowy. Twierdzili, że Niemcy wieźli ich do pracy, bowiem takie zapewnienie otrzymali na piśmie od von dem Bacha. Zapytaliśmy, czy wiedzą, gdzie się teraz znajdują. Wypowiedzi niektórych nas szokowały, bo twierdzili, że oni byli spokojnymi ludźmi, a my działaliśmy przeciw Niemcom i dlatego przebywamy w obozie. Ta wiadomość szybko rozeszła się po obozie. Nie mogliśmy pojąć, jak to było możliwe, że po wielu latach katorgi obozowej uważano nas za tych, którzy przeciwko Niemcom „broili”. Niektórzy

z przywiezionych z Warszawy posiadali różne kosztowności, pierścionki, złote papierośnice i inne wartościowe przedmioty, ale je łamali i niszczyli, aby ich nikomu z Polaków nie dać. Umieszczono ich w blokach nieparzystych naprzeciw naszych. Do pracy nie chodzili. Odżywianie obozowe szybko zrobiło swoje. Stali za drutami i prosili o jedzenie. Szybko przekonali się, co to jest obóz koncentracyjny. Tylko nieliczni doczekali wyzwolenia. Myśmy niewiele mogli pomóc.

Zmienione zostały władze obozowe. Komendantem został Ruppert, a nad nim i esesmanami zwierzchnikiem był Weiss, który wcześniej rano przychodził do kuchni i badał, jak gotowano dla nas pożywienie i czy kucharze nie kradli produktów dla siebie. Apel trwał kilka minut. Wszystkie te zmiany były dla nas, po wielu latach katongi, niepojęte. Obiecywano nawet, że po zakończeniu wojny będziemy mogli korzystać z wielu osiągnięć ułatwiających życie. Dla nas było to świadectwem powiedzenia: „jak trwoga, to do Boga”. Myśmy czekali na wyzwolenie i szybki powrót do Ojczyzny. Odczuwaliśmy, że zbliża się ten dzień. Nikt jednak nie przypuszczał, że jest tak blisko.

Zbliżał się dzień wyzwolenia obozu

Obóz, jak dowiedzieliśmy się po wyzwoleniu, został przeznaczony przez władze hitlerowskie do ewakuacji. Dlatego już w końcu marca 1945 r. zwolniono 120 księży niemieckich i volksdeutsche. Pamiętam zwolnienie jednego polskiego księdza – volksdeutsche. Dlatego nas księży polskich przeniesiono na blok 26. Tłok był niesamowity. W trzech salach było 1200 duchownych, a w czwartej izbie była kaplica. Spaliśmy po trzech na jednym łóżku. Był czwartek, 28 kwietnia. Po wypiciu kawy kazano nam spać dwa koce, bieliznę, ręcznik, talerz, miskę, łyżkę i wyjść na plac apelowy. Słońce już dosyć przygrzewało, a my staliśmy czekając, co będzie dalej. Z nadzieją rozmawialiśmy na temat przyszłości. Nad wszystkim jednak górowała obawa, czy uda się nam uniknąć zagłady. Stanie przedłużało się. Nikt do nas nie wychodził. Siedzieliśmy na naszych paczkach i czekaliśmy. Około godziny 11-ej ogłoszono, że na placu pozostaną Niemcy i Rosjanie, a pozostali więźniowie mieli wrócić na bloki. Z placu między blokami było widać bramę wejściową od głównej drogi, a na niej białą flagę, znak bliskiej wolności. Pozostałych na placu ustawiono w szeregi. Rozdano pasiaki. Było to kilkanaście tysięcy więźniów. Następnie ustawiono w jednym szeregu po żywność. Mówiono, że Niemców chciano uchronić podczas wędrowki oraz że władze obozowe obawiały się zemsty Rosjan. Przed kuchnią ustawiono trzy stoły, a na nich kolejno zostały rozłożone margaryna, konserwa wołowa i pół bochenka chleba. Przy każdym stole czuwał esesman i więzień wydający porcje żywnościowe. Oznaczało to, że przygotowali się do opuszczenia obozu. Pod wieczór rozeszła się wieść, że można tam „zorganizować” coś do zjedzenia. Koledzy namówili mnie, abym spróbował, a może się uda. Poszedłem, stałem chwilę i przyglądałem się, jak przebiegała ta akcja. Esesman czasem odwracał się i to był moment, kiedy można było zabrać porcję żywnościową. Kolega – więzień nie bronił. Trzeba tylko było włączyć się w kolejkę, aby esesman nie zauważył.

Wówczas kiwnęło się na stojących w kolejce i szło się do następnego stolika. Miałem spodnie u dołu zapinane. Mogłem więc do nich wrzucić kostkę margaryny, konserwę i chleb. Jakoś udało się. Było już ciemno, kiedy odszedłem na bok, wyjąłem zdobyte produkty i poszedłem na blok. Koledzy czekali, leżąc na łóżku. Droczyłem się trochę, że im nie dam zdobyć. Po chwili jednak we trzech zjedliśmy wszystko. Spało się smacznie.

W piątek, 27 kwietnia, było pochmurno i wiał silny wiatr. Wyprowadzono nas na plac apelowy, ale apel trwał krótko i powróciliśmy na blok. Cały dzień spędziliśmy bezczynnie w izbie. Rozmawialiśmy oczywiście o wyzwoleniu, kiedy i w jakich okolicznościach to nastąpi. Wieczorem kazano nam przygotować się do ewakuacji. Panowało zamieszanie i bałagan, jakiego dawno nie widzieliśmy. Każdy pakował to, co uważał za potrzebne, a zresztą co człowiek mógł tam posiadać. Ale ewakuacja nie następowała. Tymczasem naloty i wybuchy bomb świadczyły, że wyzwolenie było już blisko. W sobotę, 28 kwietnia, wieczorem przyjechały samochody Czerwonego Krzyża z Genewy, z paczkami dla Francuzów. My wcześniej też otrzymaliśmy dwukilogramowe paczki z cukrem i ciastkami. Kierowcy uspakajali nas twierdząc, że koniec już bliski. Przejeżdżali przez linię frontu i widzieli uciekających Niemców, wyczerpanych i brudnych, ale wciąż ostrzeliwujących się. Amerykanie parli do przodu. Samoloty nadlatywały w razie potrzeby i czyniły spustoszenie wśród żołnierzy niemieckich. Twierdzili, że to wszystko dzieje się bardzo blisko od obozu. Tylko godziny dzieliły nas od oswobodzenia. Znowu podniecenie i radość, ale i niepokój, kto doczeka dnia oswobodzenia i w jakim stanie. Modlitwa pomagała zachować równowagę wewnętrzną. Skupialiśmy się po kilku odmawiając różaniec i polecając się opiece św. Józefa Kaliskiego.

I jeszcze kilka zdarzeń z miesiąca kwietnia: Przybywały liczne transporty więźniów z innych obozów koncentracyjnych. Były to szkielety ludzkie, ponieważ wszędzie brakowało jedzenia. Wymagali troski i opieki oraz odpoczynku, a tymczasem tego nie mogli znaleźć w Dachau. W kwietniu przybył transport więźniarek, umieszczono je w osobnym budynku przy bramie. Opiekowały się nimi esesmanki. Po krótkim pobycie zabrano je. Dnia 20 kwietnia na placu apelowym zostali zgromadzeni Żydzi, których było 2400. Przybywali z innych ewakuowanych obozów. Ubrani w liche drelichy pozostali całą noc na deszczu. Następnego dnia poprowadzono ich na dworzec. Na placu pozostało kilkunastu zmarłych. Wagony, w których zostali umieszczeni zamknięto szczelnie. Kiedy Amerykanie otworzyli te wagony znaleźli w nich tylko 60 jeszcze żyjących Żydów. W tym czasie palono publicznie akta obozowe obok komendantury i na rewirze. W dniu 28 kwietnia wszystkie grupy esesmanów opuściły koszary, tylko na wieżach pozostało kilku strażników. Nad główną bramą powiewała biała długa flaga na znak, że obóz i tereny przylegające będą oddane zwycięzcom bez oporu. Okazało się, że był to szatański podstęp. Przytaczam rozkaz Himmlera na temat ewakuacji. Komendant Weiss był przeciwny ewakuacji, bo uważał, że to było bezcelowe. Weiss otrzymał od Himmlera nowy rozkaz (14 IV 1945 r.): *Do pana komendanta obozu koncentracyjnego*

w Dachau. O oddaniu obozu nie może być mowy. Obóz należy natychmiast ewakuować. Nie wolno żadnego więźnia oddać w ręce nieprzyjaciela. Więźniowie z Buchenwaldu zachowali się w okropny sposób wobec ludności cywilnej. Himmler. W obozie przebywało wówczas 32 tys. więźniów. Rapportführer Bechter zeznał później, że zdrowych miano wyprowadzić w kierunku Alp, do soboty, 28 kwietnia. Potem należało zniszczyć cały obóz i więźniów tam pozostawionych. Wyprowadzono niewielu. W przypadku pozostałych wydano rozkaz, iż w niedzielę, 29 kwietnia, o godzinie 20. należało zwołać wszystkich na plac apelowy i przy pomocy karabinów maszynowych wystrzelać, a potem cały obóz spalić. Zwęglone szczątki i zgliszcza mieli zastać alianci. Ale Pan Bóg czuwał nad nami i nie dopuścił do tej straszliwej zbrodni. Niewielka bowiem grupa żołnierzy amerykańskich uprzędiła działania hitlerowskie w obozie. O potwornym podstępie nie wiedzieliśmy. W oczekiwaniu na wolność 29 kwietnia odprawiliśmy nabożeństwo dziękczynne z kazaniem. Na zakończenie odśpiewaliśmy po raz pierwszy publicznie *Boże, coś Polskę*. Piękny to był dzień. Otrzymaliśmy jak zwykle kawę na śniadanie. Odgłosy pocisków artyleryjskich dawały się słyszeć coraz głośniejsze i coraz bliżej. Mimo to obawa i beznadziejność przepelniały każdego z nas. W południe zupa, kluski z sosem i kawałkiem mięsa, dobre to było jedzenie, ale mało. Głód trwał już od kilku miesięcy. Po obiedzie przyszedł kolega, pochodzący z Piotrkowa. Kiedyś na spacerze zdecydował, że pewnie jesteśmy kuzynami i tak już pozostało. Otóż ten mój kuzyn, fajny chłop, pracował w kuchni. Kiedy wracali z kuchni, esesmani strzelali do nich z wieży na placu apelowym, pociski odbijały się o kamienie. Wreszcie wyjął duży kawałek kielbasy i dał mi, abym zjadł. Koledzy przyglądali się z zazdrością. Pokroiliśmy wielki dar i rozdzieliłem. Pytam kuzyna, jak to wyniosłeś. „Było gorąco” – mówi, „zjąłem marynarkę, kielbasę włożyłem do rękawa, marynarkę przerzuciłem przez rękę. I udało się”. Esesman czuwał, ale nie zauważył. Podziękowałem temu kuzynowi, ale jednocześnie upomniałem, że jesteśmy na progu wolności, a on narażał swoje życie i mógł nie doczekać tak bardzo upragnionej wolności. Wrócił na swój blok 18. Na dworzec słońce dość przygrzewało, a my nie wiedzieliśmy co z sobą należało robić. Trwało oczekiwanie połączone z obawą. Niektórzy chodzili przed blokiem, inni odpoczywali w łózkach. Panował stan niepokoju.

Wyzwolenie obozu

Nagle słyszymy głos wielu – „Amerykanie”. Według mnie była to godzina 17:25 (powszechnie podaje się godz. 17:45). Przebywający w izbach cisną się do drzwi. Ja wyskoczyłem przez okno. Za drutami widziałem niskich żołnierzy z automatami w rękę, było ich kilkunastu. Przyszli od krematorium. Większość kierowała się do wieży naprzeciw bloku 26, na której byli esesmani. Oficer amerykański nakazał, aby Niemcy zeszli na ziemię. Schowałem się za węgiel bloku 26, obawiałem się bowiem, że Niemcy będą się bronić. Mieli do dyspozycji potężne karabiny maszynowe. Patrząc, Niemcy zeszli. Jeden pozostał wewnątrz, Amerykanin wystrzelał w jego kierunku cały magazynek. Niemiec

wyszedł butny. Amerykanin pociągnął za cyngiel i dał znak żołnierzom, a ci wystrzelali wszystkich esesmanów. Trupy wpadały do kanału płynącego obok. Wszystko trwało kilka minut. Moje „stanowisko jako sprawozdawcy” oddalone było o około kilkadziesiąt metrów w linii prostej. Opisane fakty podaję, tak jak wówczas przeżywałem. Byłem bardzo podniecony, bo to były wielkie chwile.

Zaczęły schodzić się szkielety ludzkie, odziane tylko w koc, gdyż ubrania i bielizny nie otrzymali. Staczali się po kilka metrów po wybetonowanej ścianie rowu i znowu wdrapywali się z powrotem, raniąc ręce i nogi. Krew płynęła z ran, ale to nie było ważne. Oni przez rozchylone kolczaste druty szli, aby witać się z Amerykanami i dziękować im za ocalenie. Stałem na placu wśród tłumu, szalejącego ze szczęścia po odzyskanej wolności. Spoglądam na balkon głównej bramy, a na niej żołnierz amerykański wyjął proporzycyk o naszych barwach narodowych i zawiesił. Wydawało się, że serce nam Polakom wyskoczy, aby głosić światu: *Jeszcze Polska nie zginęła*. Za chwilę wszedł więzień i zawiesił dużą biało-czerwona flagę. Znowu nowy szal radości. Była to pierwsza flaga na głównej wieży – nasza polska. W międzyczasie pojawiły się flagi na blokach tych narodowości, z których więźniowie tam przebywali, a między nimi najwięcej biało-czerwonych. Było to coś fantastycznego, czego opisać się nie da. Znowu jesteśmy ludźmi. Flagi przygotowano wcześniej, mimo czujności hitlerowskich bestii. W tym czasie niektórzy z radości tracili siły, ale po krótkim odpoczynku wstawali i dalej się cieszyli. Przeszedłem przez plac apelowy w stronę rewiru, aby zobaczyć co tam się dzieje. Stałem przy wieży i ujrzałem straszny widok. Na kopcu ziemi leżało zastrzelonych kilku esesmanów. Jeden miał roztrzaskaną czaszkę. Podszedł młody więzień, świadek zdarzenia i opowiadał, jak to się stało. Do wieży zbliżał się podpity żołnierz amerykański z automatem w rękę, a za nim szła dość duża grupa więźniów. Amerykanin rozkazał Niemcom, aby zeszli z wieży. Wszyscy zeszli i klękali. Jeden złożył ręce i prosił, aby go nie zabijał, bo jest Polakiem. Amerykanin pewnie zrozumiał, bo powiedział Polak nie Polak i strzelił mu prosto w czoło, a potem oddał automat stojącemu obok więźniowi, a ten zastrzelił wszystkich. Był to przykry widok. Z innych wież więźniowie pędzili żołnierzy niemieckich na punkt zborny, ale tam już ich nie rozstrzelowano.

W tym wielkim podnieceniu człowiek zapominał o jedzeniu, ale żołądek pamiętał i zaczął dopominać się o swoje. Wróciłem na blok, spodziewając się, że coś znajdę do zjedzenia. W pewnym momencie brzęczek wezwał nas na plac apelowy. Biegniemy ciekawo, co się stało. Na wieży znany nam Raportführer Bettker powtarzający za więźniem wyzwiska na Hitlera, czynił to spokojnie i dokładnie. Cieszyliśmy się, że taka zmiana nastąpiła. Tak niedawno przeklinał nas, a dziś klnie na swojego uwielbianego wodza. Nie szczędziły więźniom upokorzeń te bestie w ludzkim ciele. To wszystko tak nagle zmieniło się. To wszystko nie mieściło się w głowie. To więźniowie przywieźli Bettkera do obozu, z którym tak był zżyty, a który na rowerze uciekał do Monachium podczas gdy oni jechali samochodem po pokarm dla królików. Zaczęto rozwozić z magazynów jedzenie. Każdy otrzymał ciepłą kawę, pół bochenka chleba, kawałek margaryny i ki-

logramową konserwę na dwóch. Wielu zaczęło łapczywie jeść. Skutki były tragiczne. Pusty i wyjałowiały żołądek u wielu nie wytrzymał. Rano wywieziono stosy zmarłych. Byli już wolni i sami spowodowali swoją śmierć. Ja z Józkiem przygotowaliśmy się do jedzenia. Znalazłem kawałek deski, rozpałem ognisko i zagrzałem mięso. Zjedliśmy bez tragicznych następstw. Patrzyliśmy ze łzami w oczach i przerażeniem na trupy wywożone z bloków, a powodem było nieopanowanie głodu. Po tylu udrękach (dla były to lata całe) trzeba było odchodzić. Na drugi dzień żywiono nas już oszczędniej i to też było dla nas niedobre, bo byliśmy znów głodni. Mogliśmy przekonać się, że odżywiać się należy racjonalnie. Nam, wówczas bardzo wygłodzonym trudno było to zrozumieć. Należało jednak godzić się z tym twardym prawem. Całą noc mieliśmy bardzo niepokojną. Z małymi przerwami stale wybuchały niedaleko pociski artyleryjskie, ale rano nastał spokój. Dowiedzieliśmy się, że Amerykanie zostawili przy obozie tylko straż, a reszta wojska udała się w pościg za nieprzyjacielem. To było konieczne dla uratowania obozu. Wieczorem około godziny 20., kiedy wychodziliśmy z kaplicy niemieckie wojsko rozpoczęło gwałtowny atak. Słuchać było nie tylko wybuchy pocisków artyleryjskich, ale także strzelaninę z karabinów maszynowych. Wszyscy schroniliśmy się do baraków. Mieliśmy nawet uciekać, gdyby Niemcy weszli do obozu. Atak został jednak odparty. Baterie amerykańskie ustawione wokół obozu ostrzeliwały ich pozycje, składające się z połączonych formacji esesmanów z dywizji „Wiking”, liczącej około 4 tys. żołnierzy, które otrzymały rozkaz zaatakowania obozu, wymordowania więźniów i spalenia wszystkich urządzeń. Szatańskie plany formacji „Wiking” nie spełniły się. Siły amerykańskie szybko rozprawiły się z nimi.

Różnie mówiono na temat, dlaczego i z jakiego powodu, mały oddział Amerykanów w tak zaskakujący sposób znalazł się w Dachau. Twierdzono, że otwierali wagon kolejowy, a w nim znaleźli stosy trupów, a także że spotkali więźnia w pasiakach, który opowiedział im o niedalekim obozie w Dachau. Ten niewielki oddział postanowił udać się do obozu. Główne siły amerykańskiej VII Armii maszerowały w kierunku Monachium. Miasto Dachau od obozu dzieliła rzeka Amper. Przedostali się jakoś przez tę rzekę i wyzwolili obóz.

Amerykanie zaczęli troszczyć się o nasze zdrowie. Rozpoczęły od kąpieli i dezynfekcji, gdyż nie było innego wyjścia. Dawali nam czystą bieliznę i ubrania z magazynów. Były to ubrania wojskowe armii rozbrojonych przez Niemców, buty także wojskowe. Czasem nie pasowały, ale wówczas zamieniano się. Trzeba było być cierpliwym.

Otwarte bramy obozu dla wielu były okazją do wyjścia w nieznaną. Najczęściej kierowano się do Monachium, oddalonego o 18 km. Niektórzy zachowywali się niegodnie. Oczywiście w tej grupie znajdowali się nie tylko Polacy. Księża też wyjeżdżali do Monachium. Ja też raz byłem na takim spacerze w Monachium, gdzie widziałem jego bogactwo. Pomyślałem sobie, że nie na próżno Niemcy okupowali tyle krajów, z których zabierali wszelkie bogactwa.

Obóz zaczęli odwiedzać teraz różni goście. Amerykański Czerwony Krzyż pragnął nam pomóc, ale nie było to możliwe. Wydał natomiast oświadczenie: *Słyszeliśmy wiele o Dachau, ale byliśmy przekonani, że była to raczej akcja propagandowa. Dziś patrzymy na tak ohydne zbrodnie, w które nie uwierzylibyśmy nigdy, gdybyśmy nie byli ich naocznymi świadkami.* Obóz stał się terenem działania reporterów prasowych, filmowców, pokazujących wszystko, co widzieli i co słyszeli. Wśród przybywających byli generałowie i oficerowie. Były też komisje parlamentarne z Anglii i Ameryki, przedstawiciele Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i związków lekarskich oraz bardzo wielu żołnierzy. Kaplicę naszą zaliczono do zabytków. O nasze warunki w obozie pytali zwłaszcza kapelani wojskowi. Naszym życiem i wszystkim w obozie interesowali się także polscy oficerowie. Radości było wiele, ale trzeba było nadal spojrzeć na obóz, gdzie pomagano chorym, a zarażonych tyfusem umieszczono w dawnych budynkach SS. Amerykański Czerwony Krzyż sprowadził liczny personel lekarski i dużo medykamentów. Podobnie postąpił Francuski Czerwony Krzyż, chociaż pomagał głównie swoim rodakom. Przybyły siostry franciszkanki i ojcowie kapucyni z Francji. Biuro obozowe organizowało Komitety Narodowe dla każdej narodowości, które miały łączność z komendanturą. Sporządzono nowe kartoteki, a przy tej okazji wykryto 120 esesmanów, ukrywających się wśród więźniów. Przeżywanie wolności czyniło z człowieka obojętnym na wszystko co działo się dookoła. Myśleliśmy o powrocie do Ojczyzny.

Pierwsze dni po wyzwoleniu

Czas jednak nie zatrzymał się w miejscu. Trzeci dzień na wolności przypadł 1 maja. Amerykanie uroczyście wprowadzili do obozu sztandar Stanów Zjednoczonych. Amerykański komendant ogłosił, że jesteśmy wolni i prosił, apelując do poczucia narodowego, o zachowanie koniecznej dyscypliny i porządku, co przyspieszy powrót do stron ojczystych. Wydał także zarządzenie, że każdy z więźniów może wnieść oskarżenie, poparte dowodami, przeciw współwięźniom, znęcającym się nad kolegami w pracy i w czasie pobytu w obozie. Bywały wypadki, że sąd wymierzał kary z tego powodu.

Na placu apelowym zbudowano piękny ołtarz, nad którym wznosił się 15. metrowy krzyż oraz był umieszczony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, namalowany przez jednego z kolegów. W dniu 3 maja o godzinie 9. została odprawiona uroczysta Msza św. z asystą i podniosłym słowem Bożym, wygłoszonym przez jednego z księży seniorów. Śpiewał także chór pod kierownictwem ks. Mizgalskiego⁷. Wieczorem przed blokiem 26 odprawiono nabożeństwo majowe. We mszy i nabożeństwie uczestniczyła dość duża grupa więźniów, nie tylko Polaków.

⁷ Ks. Gerard Mizgalski, ur. 16 V 1907 r. w Lesznie. Był kustoszem archiwum i muzeum w archidiecezji poznańskiej. Został aresztowany 9 XI 1939 r. Więziony w Kazimierzu Biskupim, Dachau, Gusen i ponownie w Dachau. Doczekał wyzwolenia.

Kilku księży z ks. Jedwabskim z Poznania⁸ wpadło na pomysł, aby zwrócić się do kardynała Faulhabera⁹ o pomoc, szczególnie chorym i cierpiącym. Kardynał wysłuchał i odpowiedział, że pomoc nie może, bowiem miejsc w uzdrowiskach nie posiada, a na leczenie nie ma funduszy. W diecezji ma wielu swoich księży, którzy także przebywali w obozie i im też należy się pomoc. Wrócili księża z Monachium smutni. Opowiedzieli rezultaty swojej misji. Wywarło to na nas przygnębiające wrażenie. W obozie spotykaliśmy księży i świeckich Niemców, którzy potępiali hitleryzm, ale pragnęli zwycięstwa Niemców w wojnie. Brak zajęcia i wałęsanie się po obozie męczyło nas. Przykre wieści, dochodzące z Ojczyzny, budziły niepokój. W sercu znów rodził się bunt, czyż to morze krwi i cierpienia całego Narodu, a wśród nich gehenna cierpienia niewinnych ofiar w obozach koncentracyjnych, to było za mało i ma pójść na marne. Nie można było tego pojąć. Wielu księży przygotowywało się do pracy w innych krajach, bo zaproszenia nadchodziły z całego świata.

Wreszcie nas księży i wszystkich Polaków przetransportowano do Freiman pod Monachium. Były tam duże bloki wojskowe. Kierował budową inż. Reimann. Po zakończeniu budowy zaproszono Hitlera, aby pokazać dzieło, ale ten nie okazał zachwytu. Budowniczy tak sobie ten afront wziął do serca, że odebrał sobie życie. Na jego cześć nazwano tę dzielnicę jego imieniem. I tu panowała beznadziejność. Spaliśmy na pryzkach zbitych z nieheblowanych desek, gdyż łóżka Niemcy wywieźli przed naszym przyjazdem. Po kilku dniach pobytu tutaj, przyjechał do nas w odwiedziny przedstawiciel Ojca św. Ucieszyliśmy się tym gestem. Niektórzy księża prosili, aby chorych umieścić w lecznicach, czy w takich ośrodkach, gdzie mogliby odzyskać zdrowie i siły. Życzliwie słuchał o naszych cierpieniach, dał każdemu po jednej pomarańczy i po kilka papierosów. Zamknął całe spotkanie stwierdzeniem, że Ojciec św. nie ma takich możliwości, aby mógł zaspokoić nasze potrzeby. Przeżyliśmy i to boleśnie. Przyjechał także arcybiskup Józef Gawlina, biskup połowy¹⁰. Starał się przybliżyć nie tylko do nas księży, ale do wszystkich mieszkańców. Przemawiał bardzo podniecony. Zakończył zaś stwierdzeniem, że drogę do wolnej Polski sami sobie wywalczymy. Państwa zachodnie bowiem uznały rząd w Lublinie. Większość księży zdawała sobie sprawę, że trzeba wrócić do Ojczyzny i do bliskich, ale nie wiedzieli, co tam zastaną. Jedyne wiara i ufność w Bożą opiekę nie pozwoliły załamać się. Zbliżał się koniec pobytu w Freiman. Księży podzielono na strefy, gdzie mieli spełniać obowiązki duszpasterskie wśród Polaków przywiezionych na roboty przez hitlerowców. Dla odprężenia i nabra-

⁸ Ks. Franciszek Jedwabski, ur. 29 I 1895 r. w Wilkowyi. Był kanclerzem Kurii Arcybiskupiej w Poznaniu. Został aresztowany 6 X 1941 r. Więziony w Poznaniu i Dachau. Doczekał wyzwolenia.

⁹ Kard. Michael Faulhaber, przeciwnik ideologii nazistowskiej. Był inicjatorem encykliki Piusa XI „Mit brennender Sorge” potępiającej nazizm.

¹⁰ Biskup Józef Feliks Gawlina, ur. 18 XI 1892 r. w Strzybniku. Święcenia kapłańskie przyjął 18 VI 1921 r. Organizował Ligę Katolicką i Akcję Katolicką na Górnym Śląsku. Biskupem połowym został mianowany 11 II 1933 r. Zmarł 21 XI 1964 r. w Rzymie.

nia sił rozmieszczono nas po wioskach u niemieckich gospodarzy, którzy byli dla nas życzliwi. Po dwóch tygodniach znalazłem się w Dortmundzie-Aplerbeck, gdzie miałem prowadzić pracę duszpasterską.

Zakończenie

Opisanie wszystkiego w obozie, zwłaszcza wewnętrznego zagubienia, jest rzeczą niemożliwą. Wszystko, co opisałem, dotyczy tylko moich przeżyć i zasłyszanych zdarzeń. Fakty i wydarzenia podałem bardzo oszczędnie. Chciałem przekazać w sposób bardzo ograniczony opis jednego dnia przeżytego w obozie koncentracyjnym. Chciałem przełać na papier cały ogrom cierpienia wywołanego znęcaniem się poprzez szykany, wyzwiska i wyszukane ćwiczenia, poprzez niesamowity głód oraz poprzez inne sposoby, jakimi starali się nas gnębić hitlerowcy. Czynili to ludzie, którzy wyzbyli się cech ludzkich. Jedynie świadomość, że Pan Bóg jest z nami, nawet w tej otchłani zła, pozwalała nam przetrwać.